

CONAN DOYLE.

GODZINA DUCHÓW.

NOWELA.

Przybyłem do przyjaciela mego, malarza, Harweya Deakou, w zamiarze spędzenia u niego kilku dni świątecznych. Było to w dniu 24 grudnia, to jest w sam wieczór wigilijny. Przyjaciół mój był bardzo zdolnym artystą, ale umysł jego i talent zwracały się chętnie do przedmiotów dziwacznych, nie mających nic wspólnego z codziennym, powszednim życiem. Z tego to zapewne powodu w domu jego panował szczególny nastrój, i stanowczo w jego tylko pracowni zdarzyć się mógł zadziwiający wypadek, który zamierzam opowiedzieć. Zastrzegam się z góry, że nie mam bynajmniej pretensyi, aby mi wierzone na słowo, a jednak gdyby kto chciał sprawdzić wierność mego opowiadania, może się zwrócić do pięciu wiarygodnych osób, które wraz ze mną przeżyły tę nadzwyczajną noc.

Wszedłem do pracowni Harweya w mroczne południe zimowe i zastałem go w towarzystwie kilku osób, które podziwiała świeżo wymalowany przez niego obraz, ustawiony na sztalugach. Panie rozpiływały się w pochwałach i rzeczywiście obraz zalecał się bardzo pięknym kolorytem.

— Co myślisz o tym obrazie, Marphamie? — spytał mnie mój przyjaciel.

— Wyznaję — odparłem — że treść jego przekracza moje zrozumienie. Co znaczą te wszystkie zwierzęta?

— To są twory urojone, zwierzęta alegoryczne, które malowano niegdyś jako godła na tarczach herbowych, gryfy, bazyliuszki, smoki wszelkiego rodzaju.

— A ten wielki biały koń na przedzie?

— Jaki koń? — spytał Deakou z odcieniem niecierpliwości w głosie. — To wcale nie jest koń, lecz jednorożec, twór fantastyczny, który musiałeś widzieć na herbowej tarczy królewskiej.

— Przepraszam cię — usprawiedliwiałem się zmieszany — ale nie znam się na tych rzeczach, nie zauważyłem też w pierwszej chwili, że twój koń uzbrojony jest w jeden potężny róg, umieszczony nad czołem. Bardzo dziwne stworzenie, bez wątpienia. Ciekawa rzecz, jakby wyglądał taki twór, gdyby istniał rzeczywiście i hasał po naszych łąkach.

— Otóż to właśnie — potwierdził Harwey — chciałem koniecznie wymalować to stworzenie tak wiernie, jak gdyby żyło istotnie. Nie masz pojęcia, ile mnie to trudu kosztowało, ale ostatecznie, okazałem, jak sądzę, swego. Ale dość już o tem, zostawmy w spokoju mój obraz i mówmy o czem innym.

Odwrócił obraz do ściany i usiedliśmy wszyscy, popijając herbatę, którą potraktowała nas pani Deakou, żona Harweya. — Wtedy dopiero dowiedziałem się z rozmowy, że towarzystwo, które się tu zebrało, miało zamiar odbyć dziś jeszcze nocny seans spirytystyczny.

Zdziwiło mnie to cokolwiek, równie jak i panią Deakou, która sprzeciwiała się usilnie tej rozrywce, uważając słusznie, że dzień wigilijny nie był wcale właściwym do wywoływania duchów i odbywania tych okultystycznych praktyk. Nie lubiła ona wogóle tych posiedzeń nocnych, które pochłaniały tak wiele czasu jej mężowi i odrywały go od pracy. — Nie brała też w nich nigdy udziału, wychodząc z pokoju, skoro się tylko rozpoczynały.

Kto jednak miał kiedy sposobność zetknąć się z ludźmi uprawiającymi spirytyzm, ten wie, z jaką namiętnością oddają się swoim praktykom, tak, że nie w świecie nie zdola ich powstrzymać od tych niezdrowych doświadczeń. To też i tu na nic się nie zdały przedstawienia żony malarza, aż wreszcie pani Deakou oddaliła się do innej części domu, gdzie wraz z dziećmi miała zająć się przystrajaniem drzewka wigilijnego. Po jej wyjściu dopiero zapoznano mnie bliżej z dwoma osobami, odgrywającymi na tych zebraniach najważniejszą rolę.

Jedną z nich była pani Delamare, żona rzeźbiarza, piękna jasnowłosa kobieta, która, jak się dowiedziałem, miała być wybornym medyum, a drugą oczekiwano właśnie w chwili odejścia pani Deakou. Oczekiwanie nie trwało długo, usłyszeliśmy lekkie pukanie do drzwi, po którym wtoczyła się do pracowni mała, przysadkowata figurka, w której nie zauważyłem nic szczególnego, prócz pary wielkich jasnych oczu, świecących fosforycznym blaskiem.

— A! jesteś pan wreszcie, panie Lepel! — zawołał Harwey, spiesząc żywo na spotkanie nowo przybyłego, którego przedstawił nam, jako znako-

mitego francuskiego spirytę, przybyłego umyślnie dla zapoznania się z tutejszym kółkiem.

Przystąpiono wtedy do właściwego posiedzenia. Przyciemniono światło w pracowni i zasiadliśmy wszyscy dokoła dużego, mahoniowego stołu — stojącego na środku. Pomimo półmroku widzieliśmy jednak dokładnie nasze twarze i pamiętam, że zwróciłem szczególną uwagę na ręce Francuza, małe, pulchne, krótkie ręce z kwadratowo zakończonymi palcami, które rozłożył na stole, wiążąc je w ogniwo spirytystycznego łańcucha.

— Dawno już nie zasiadałem do seansu w tak wybornych warunkach — zauważył głośno pan Lepel. — Przewiduję wysmienity skutek. Pani jesteś medyum — dodał, zwracając się do pani Delamare. — Jakich wrażeń doświadczasz pani w chwili uśnięcia?

— Sen mój nie bywa nigdy zupełną utratą świadomości — odpowiedziała pani Delamare. — Jest to wrażenie połowicznej senności, w której daję odpowiedź, prawie mimo swej woli.

— Zamało się pani poddaje — zauważył Francuz. — Powinna pani wpadać w stan ściśle kataleptyczny. Wtedy dopiero do ciała pani wnijdzie niejako nowa dusza, z którą będziemy mogli wejść w porozumienie słowem lub pismem. Proszę, niech pani usłucha mej rady, niech się pani nie opiera.

— Spróbuję — odparła słabym głosem pani Delamare.

Poczem zapanowała w pracowni zupełna cisza. Po chwili Francuz rzekł:

— To dziwne! co za szczególne stworzenia zaludniają ten pokój. Wszędzie przed sobą i nad sobą dostrzegam coś nakształt białych koni, zaopatrzonych w jeden róg sterczący nad czołem. Ktoś musiał myśleć bardzo usilnie o tych dziwnych tworach.

Usłyszawszy te słowa, Harwey podskoczył.

— Skądże pan możesz wiedzieć o tem?

Widzieliśmy wszyscy, że Lepel wszedł do pokoju już po odwróceniu obrazu do ściany, nie mógł więc wiedzieć, jaką była treść malowidła Harweya.

— Mówiłem przecie panu, że je widzę — niema w tem zresztą nic zadziwiającego. Każda myśl, która powstaje w mózgu człowieka, nabiera natychmiast kształtów w przestrzeni.

— Są to tak zwane ciała astralne — zauważył ktoś z obecnych.

— Ciała astralne? — rzekł z lekceważeniem Francuz. — Śmiecie się z tego panowie. Na takie rzeczy niema określenia. Dość, że białe konie są w pokoju i widzę je, mimo, że nie potrafiłbym ich dotknąć.

— A czy nie mógłbyś ich pan nam ukazać? — spytałem.

— Musiałbym je chyba zmateryalizować, a na to nie mam dostatecznej mocy, a przynajmniej nie jestem pewny, czy ją posiadam, nie wiedząc dokładnie, jaką jest siła medyumiczna pani Delamare. Czy pozwolilibyście mi państwo zmienić trochę rozmieszczenie członków koła?

— Jesteś pan w tych rzeczach większą od nas powagą — zauważył Harwey — rób więc pan wszystko, co uważasz za stosowne.

Francuz usiadł tedy obok pani Delamare, która zdążyła już była zapaść w sen głęboki i polecił zagasić zupełnie światło. Spełniono bez oporu to polecenie. Umilkli wszyscy, tak, że ciszę panującą w pracowni przerywało jedynie tykotanie zegara. Po chwili usłyszeliśmy świszczący, przyspieszony oddech kobiecy.

— Co to jest? — syknął Harwey.

— Pst, wszystko idzie wybornie. Medyum zapada w stan kataleptyczny — szepnął zaledwie dosłyszalnie Francuz.

Uczułem w tej chwili dreszcz w plecach, drobne uklucia w palcach, palenie w dłoniach i jakby elektryczne wstrząśnienia w lewym ramieniu, sąsiadującym z ramieniem Francuza. Wszyscy obecni musieli doświadczać podobnych wrażeń i siedzieli z zaciśniętymi wargami, nie wydając z siebie głosu. — Ujrzelśmy też wszyscy fosforencję stołu, którego cała powierzchnia zaświeciła różowo szarym blaskiem. Jednocześnie stół przechylał się zaczął w jedną, to w drugą stronę. Oswoiwszy wzrok z ciemnością, dostrzegałem wyraźnie białe, kwadratowe palce Francuza, których widok hypnotyzował mnie niejako.

— Doskonale! doskonale! — powtórzył parę razy Lepel. — Rozporządzamy dziś olbrzymią siłą medyumiczną. Możemy też sobie pozwolić na najśmielsze doświadczenia.

— Czy mamy rozpocząć już wystukiwanie alfabetu? — zapytał ktoś.

— Cóż znowu? Przy takim medyum, jak pani Delamare, możemy sobie pozwolić na dużo ciekawsze doświadczenia.

— Możecie! — powtórzył nam nagle głos

jakiś, płynący niewiadomo skąd i nie podobny do dźwięku mowy żadnej ze zgromadzonych tu osób.

— Kto to powiedział? — pytaliśmy wszyscy kolejno, cichym, przyspieszonym szeptem. — Czy to pani Delamare?

— Osoba, o której mówicie, nie znajduje się już między wami — odparł ten sam dziwny, głęboki głos.

— Cóż się z nią stało? Spodziewam się, że nie spotkało jej nic złego — pytał niespokojnie Harwey.

— Znajduje się w tej chwili na innym świecie, gdzie zabrała moje miejsce, podczas gdy ja wstąpiłem na chwilę do jej ziemskiej postaci.

— A kimże jesteś?

— Kimś — odpowiedział głos — który żył kiedyś, podobnie jak wy żyjecie teraz, i umarł, jak wy umrzecie w przyszłości.

Głos ten i wypowiedane przezeń wyrazy brzmiały tak uroczyście i zaświato, że nikomu z nas nie przyszło na myśl przypuszczenie mistyfikacji. Co do mnie, oczy moje, przywykłe do ciemności, nie schodziły z postaci Francuza. Widziałem jego białawą twarz i usta nieruchomie zacięte. — Podlegał z pewnością, tak samo jak my, nieopisanemu wzruszeniu.

Pani Delamare siedziała nieruchomie z głową opartą o stół i rękoma sztywnie rozłożonymi. Nad nami unosiły się kłęby żółto popielatej mgły, które zdawały się zwolna gromadzić obok uśpionego medyum.

Uczułem jakąś trwogę i chłodny dreszcz w okolicy serca. Zdawało mi się, że za chwilę przekroczymy zuchwale granicę świadomości, zakreśloną człowiekowi wyższymi, niezmiennymi prawami.

— Dość już tego — jęknął mimowoli. — Posunęliśmy się stanowczo za daleko.

— Dlaczego? — zaprzeczył Francuz. — Mamy przecie prawo dowiedzieć się czegoś nowego o siłach rządzących życiem i śmiercią. Jest to zupełnie słuszne i sprawiedliwe.

— Zupełnie słuszne i sprawiedliwe — potwierdził głos.

Zaczeliśmy się zwolna przyzwyczajać do obecności ducha i przyszła nam zupełnie naturalna chęćka wypróbowania jego wiedzy.

— Musimy się go o coś spytać — zaproponował Harwey.

— Niech nam da jakiś dowód, że istnieje naprawdę i nie jest złudzeniem.

— Powiedz nam, duchu, ile mam w tej chwili pieniędzy w kieszeni? — spytał rzeźbiarz Delamare, małżonek naszego medyum.

— Przyszedłem tu, aby was pouczyć, nie zaś odpowiadać na tak błazeńskie pytania — odparł duch, którego głos stał się zimny i twardy jak stal.

— Duch rozumuje mądrze — rzekł Harwey — możemy go przecież pytać o ciekawsze i ważniejsze tajemnice.

Wtedy ja zabrałem głos z kolei:

— Czy jesteś szczęśliwy?

— Tak.

— Czy pragnąłbyś powrócić do ziemskiego bytu?

— Nie! O, stanowczo nie.

— A czy doświadczasz bólu?

— Nie! Ból jest uczuciem wyłącznie cielesnym.

— Jakież jest cel waszego bytu?

— Doskonalenie siebie i drugich.

Rozmowa przybierała, jak widzimy, charakter prywatny, ale dlatego właśnie nie przypadała do smaku Francuzowi.

— Wy, Anglicy — zauważył on — toniecie, przy każdej sposobności, w pustej filozofii, podczas gdy tu chodzi o zrobienie nowego, realnego odkrycia, o wywołanie i zużytkowanie nowych sił.

— Bywają siły zgubne — rzekł głuchym głosem.

— Siły niebezpieczne?

— Tak, siły niebezpieczne dla ducha i dla ciała.

Głos brzmiał coraz ciszej i mniej wyraźnie, wreszcie rozpląnął się w nieuchwytnych dla ucha szmerach.

Próbowaliśmy zadawać mu nowe pytania, ale nie otrzymywaliśmy już na nie odpowiedzi. Wido- cznie czar prysnął i harmonia nasza z duchem została zamącona zbyt praktycznymi żądaniami Francuza. Słychać tylko było głęboki, ale zupełnie równy oddech pani Delamare, która pozostawała wciąż w uśpieniu. Nad stołem unosiły się jeszcze przejrzyste obłoki żółto popielatej barwy.

Ciemność panująca w pokoju zdawała się pogłębiać z każdą chwilą; odczuliśmy raz jeszcze ten sam chłodny lęk, jakiego doznaliśmy już, przed uja-